

O RÓŻNOŚCIACH CZEŚĆ 19

Moje spotkanie ze Stalinogrodem. Wiosną 1953 roku rozstaliśmy się ze słynnym wschodnim dyktatorem. W 1955 roku rodzice zdecydowali o wyprowadzeniu się z Krotoszyna, zostaliśmy bowiem z mamą sami. Padło na Stalinogród. Tata już wcześniej wyjechał do pracy w Łazach, gdzie zatrudnił się jako kierowca samochodowy w Przedsiębiorstwie Robót Kolejowych. Ukrywał się przed Urzędem Bezpieczeństwa, ale gdzieś musiał pracować, aby wyżywić nie tylko siebie, ale także rodzinę. Siostra po ukończeniu krotoszyńskiej szkoły handlowej podążyła za nim. To była dosyć ważna decyzja, a również, mówiąc dzisiejszym językiem, operacja logistyczna. Spakowaliśmy cały nasz dobytek do jednego, dużego wagonu towarowego i ruszyliśmy na Górny Śląsk.

Pamiętam doskonale tę podróż. Byłem nią zachwycony. Spałem na materacu. Jedzenie mieliśmy jakby harcerskie, albo ...koczownicze. Jazda pociągiem trwała około tygodnia. Dość długo staliśmy na dużej stacji towarowej w Tarnowskich Górach. Tam nas ciągle przetaczano to w jedną to drugą stronę. W końcu „popchnięto” dalej, do Stalinogrodu. Tak się to miasto wtedy, jesienią 1955 roku, nazywało. A województwo oczywiście stalinogrodzkie. Nadeszła sroga zima, a nie było w willi położonej naprzeciw stacji benzynowej przy skrzyżowaniu ulic Dąbrowszczaków i Kościuszki okien. Założyliśmy je po przyjeździe deskami. Nie pamiętam w jakim stanie znajdowały się w zimie. W piwnicy zamarały rury z wodą, jakoś jednak musieliśmy przetrwać ten trudny czas. Stalinogród był zakopcony. Nikt nie zajmował się wówczas ochroną środowiska, a huty dymiły na potęgę.

Miasto było znacznie większe od powiatowego Krotoszyna, a ja raczej mały i na początku zagubiony. Zapisali mnie na jakieś zajęcia w Pałacu Młodzieży. Wieczorem jakoś nie mogłem trafić do domu. Wałęsałem się po ulicach, a w domu podniesiono alarm, powiadomiono milicję i rozpoczęły się parogodzinne poszukiwania. Mając dość chodzenia, w końcu wsiadłem do właściwego autobusu i wróciłem. Mama nawet mnie nie sprąła, widząc synalka całego i zdrowego. Stalinogród „trwał”. Z taką nazwą dotrwał do jesieni 1956 roku. Muszę przyznać, że mnie, dziesięcioletniemu chłopakowi, było obojętne, czy to Katowice, czy Stalinogród. Polityką się wtedy nie zajmowałem, a później też trzymałem się od niej z daleka. Niektóre moje dokumenty zostały odpowiednio opieczętowane (nie mogłem temu zapobiec), tzn. z rzucającym się w oczy nazwiskiem tego wyjątkowego satrapy, jednego z największych ludobójców. W miarę pełną o nim wiedzę uzyskałem dopiero podczas późniejszych lektur książek głównie przetłumaczonych z innych języków. W czasach PRL-u nie zawsze były takie dostępne.

Odnoszę wrażenie, że piszących jest więcej niż czytających. Piszący znajdują czas, żeby pisać, a czytający nie mają czasu, aby czytać ich teksty. Idąc takim rozumowaniem dalej, to jeśli ze 100 milionów napisanych tekstów, przeczytanych zostanie 10 milionów to zasadne jest pytanie, po co napisano tych 90 milionów, jeśli nikt albo prawie nikt do nich nie zagląda.

Rzadko już sięgam do książek dr. Jana Kwaśniewskiego. Pod koniec listopada zajrzałem i trafiłem na s. 75 *Diety optymalnej* napisanej wspólnie z Markiem Chylińskim na stwierdzenie

nie: „Gdyby nasi profesorowie zarabiali dostatecznie dużo, to wtedy czynność ich umysłów poprawiłaby się”. Chyba mu się to wymysknęło nieopatrznie. Był rok 1997, a więc prawie 30 lat temu. Profesorowie rzeczywiście w tym czasie nie zarabiali, przynajmniej ich zdaniem tyle, ile by sobie życzyli. Po iluś tam latach dopięli swego, czyli ich zarobki podskoczyły znacząco, żeby nie powiedzieć – poszybowały w górę. I co? I nic. Czynność ich umysłów, do której zgłosił zastrzeżenie Kwaśniewski, nie zmieniła się. Nadal zatopieni są w utartych schematach myślenia o odżywianiu się, czyli koncentrują się na walce z wysokim cholesterolem i znacznym ograniczeniem tłuszczu (to tylko dwa przykłady, a jest ich wiele). Te od dawna tkwiące w nich przestarzałe poglądy o tym, jak i co człowiek powinien jeść, w dalszym ciągu dają znać o sobie w usilnych próbach zdyskredytowania myślących inaczej. Tu podam znamienne, bo szeroko dyskutowany ostatnio w mediach wywiad, czy rozmowę z prof. Grażyną Cichosz. Podobnie bywało w ciągu ostatnich trzech dekad. Tak więc przypuszczenie Kwaśniewskiego o wpływie zarobków na zmianę w myśleniu najbardziej utytułowanych medyków można uznać za bezpodstawne.

Dodam jeszcze, że podobnie dzieje się u piłkarzy nożnych. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku grali widowiskowo i osiągalni sukcesy na arenie międzynarodowej, ale nie wzbogacili się znacząco. Dziś zarabiają ogromne pieniądze, a grają gorzej niż kiepsko, co wszyscy od wielu lat widzą.

Ciekawe. Jak głupiemu powie się, że jest głupi, to się obraża, a jak mądemu powie się, że jest mądry, to nie. Natomiast, gdy głupiemu powie się, że jest mądry, to jest zadowolony, a mądemu, że jest głupi, nie wyraża zadowolenia. Wniosek z tego jest jeden. I jednym, i drugim należy mówić, że są mądrzy, a nie głupi. Jako że ludzie są wyłącznie albo tacy, albo tacy, pomijając osobniki pośrednie, to znaczy, trochę mądrzy i głupi w jednym, więc również z takiego dowodu, powinno się im wmawiać wyłącznie, że są mądrzy.

Różnica między starszkami a młodzikami jest taka, że ci pierwsi więcej czasu poświęcają przeszłości, a ci drudzy przyszłości. Inaczej: ci starsi przyszłości już przed sobą nie mają, a ci młodzi przeszłości jak na lekarstwo. Pomijam i jednych, i drugich, jeśli chodzi o myślenie. Starszaki, tak pozwolę sobie nazwać tych bardziej dorosłych, niewiele już myślą, bo ich komórki gorzej funkcjonują, choćby z racji wieku. Natomiast niedorośli jeszcze mają „komórek” sporo, i ciągle przybywa im nowych, ale tych zewnętrznych, przykładanych do ucha, które najczęściej zastępują wewnętrzne, będące mimo młodego wieku w zaniku. To tak ogólnie. Gdyby przypatrzeć się temu zjawisku z innej strony, starsze roczniki już się wypstrykały, potocznie mówiąc, a młodsze tej czynności dopiero się zapamiętałe uczą, aby po niedługim czasie podążyć za starszymi. Nic innego ich nie czeka. Przyszłość jednych oraz drugich jest podobna i kończy się tak samo.

Prawie każdy może powiedzieć, że życie zależy od tego, na kogo się trafi. Tak jest na przykład w związkach małżeńskich, a także na najwyższych szczeblach państwowych. Jak jakaś panienska zwiąże się z pijakiem, będzie na ogół miała przechlapano. Wyjątkiem są takie pary, które uprawiają to „hobby” wspólnie. A jak prezydent Ukrainy trafi na prezydenta Stanów Zjednoczonych, to raczej też ma przewalone. Prędzej czy później. Przekichane mają uczciwi w kontaktach z nieuczciwymi, łatwowierni z mniej łatwowiernymi, a prawdomówni z kłamcami. Niemal wszyscy, uogólniam, dobrzy ludzie mają „prze...ne”, zadając się ze złymi. Tak zawsze było i już pozostanie. Natomiast człowiek będący częścią przyrody, tą najgorszą, niestety, nie potrafiąc jej szanować też ma przerąbane. Nie wymieniam tu wszechobecnych wirusów ani bakterii, bo to rzecz powszechnie znana, ale gdy którego jakiś zwierzak „na ząb weźmie”, prawie na bank ma „prze...ne”. Ta część przyrody zwana nieożywioną, jak się ożywi,

to jak nic klops. Nie chcę dalej straszyć tysiącami przykładów świadczących, że jest tak, jak piszę, bo to niczego nie zmienia.

Tak może być, ale nie musi. To twierdzenie ma rzeczywiście sens i często można w ten sposób odpowiedzieć różnym fachowcom, specjalistom, naukowcom i niezliczonym już ekspertom mądrzącym się zbyt wiele. Kilka przykładów:

„Jedź zdrowo (tak na marginesie, nie wiem, co to znaczy), a będziesz zdrowy”. Oczywiście, tak może być, ale nie musi.

„Pożycz mi stówę, oddam ci jutro”. Tak może być, ale nie musi, czego wielu doświadczyło poniewczasie.

„Kochający zwierzęta to dobrzy ludzie”. Tak może być, ale nie musi, o czym przekonało się wiele zwierzaków.

„Większość ma zawsze rację”. Tak się niekiedy zdarza, czyli tak może być, ale nie musi.

„Chlapij sobie, to ci dobrze zrobi”. Jednemu tak, a innemu nie, czyli tak może być, ale nie musi.

„Jak odrobisz lekcje, to kupię ci smartfona”. Obiecanki cacanki, a głupiemu radość, a więc tak może być, ale nie musi.

„Idziemy na skróty, szybciej dojdziemy”. Można się przeliczyć, nie zawsze się tak kończy, bo tak może być, ale nie musi.

„Nawet kiedy usłyszałem od nieznajomej pani na ulicy „jak cię walnę w ten głupi łeb, to ci zaraz spadnie”, mógłbym jej odpowiedzieć: tak może być, ale nie musi, bo na przykład zdążyłbym go odchylić, mimo że głupi, albo by nie spadł.

„W takiej kiece, to wszystkie chłopy będą się za tobą oglądać” – rzekła do przyjaciółki. To nie tak, proszę pani. Tak może być, ale nie musi.

„Dla pewności lepiej jest trzymać pieniądze w banku”. Ha, ha! To nie te czasy. Tak kiedyś było, a teraz może być, ale nie musi.

„Golnę sobie jednego i chandra mi przejdzie”. Każdy by tak chciał. Szybko i przyjemnie, ale niestety tak może być, ale nie musi.

„Jak mu przyłożę lewym sierpowym, będzie po nim”. To nie takie proste. Są tacy, co wszystkie ciosy przyjmują na siebie i nic im się nie dzieje, czyli tak może być, ale nie musi.

Mam nadzieję, że przekonałem niedowiarków. Innymi przykładami sami mogą sypać jak z rękawa.

Tym razem wspomnę stryja Tomka, brata taty. W rodzinnym archiwum zachowało się kilka unikatowych zdjęć z nim z okresu przedwojennego. Urodził się pod koniec XIX wieku. W połowie lat dwudziestych następnego stulecia został policjantem w Katowicach. Ożenił się z Niemką Gertrudą Scholz. Dzieci nie mieli. W czasie wojny znalazł się w Wielkiej Brytanii. Powrócił do Polski chyba w połowie lat sześćdziesiątych. Nie chcę pisać o jego czasach spędzonych przed wojną w Katowicach, bo niewiele o tym wiem. Mógłbym coś poprzekreść. Po przyjeździe dużo czasu spędzał u nas, w mieszkaniu przy ulicy Piotrowickiej w Ligocie. Tato był z brata dumny, no bo przecież to prawie Anglik, spędził na wyspie ponad dwadzieścia lat. Nagadali się „do syta”, zwłaszcza o latach przedwojennych. Jeden w wojsku, drugi w policji, więc było co przywoływać z czasów młodości, tym bardziej, że władzy ówczesnej, powojennej, nie kochali. Stryj miał wiele informacji przywiezionych zza żelaznej kurtyny, a tato głowę „nabitą” wiadomościami z Radia Wolna Europa i Głosu Ameryki. A ja byłem głupi, że tych rozmów nie zapisywałem. Widywałem się z oboma podczas przyjazdów do Katowic. Nie pamiętam gdzie mieszkał. Mama doskonale się z nim znała, ale nie była specjalnie zadowolona, bo Tomek nie płacił za jedzenie, widocznie uważał jego żywienie u nas za rodzinny obowiązek. Stryj przywiózł samochód. Był to Ford Consul Cortina. Jako że

w 1966 roku otrzymałem prawo jazdy (po naukach mistrza taty), nie mogłem nim nie jeździć. Robiliśmy krótkie wypadki w góry, przyjechali też do mnie chyba w 1967 roku do Wrocławia. Źle się stryjowi nie wiodło, ponieważ emeryturę przysyłano mu w funtach szterlingach, które w czarnorynkowym przeliczeniu, stanowiły dosyć pokaźną sumkę.

Dla mnie najważniejszą że tak powiem zasługą stryja było zaproszenie do Anglii w 1966 roku przysłane przez jego znajomych, Polaków z Londynu. Wcześniej załatwiłem sobie tam pracę na obozie studenckim w Leverington. To była bardzo ważna data w moim życiorysie. Często grali w skata. Przychodził do nas ich mniej więcej rówieśnik, p. Hercka z sąsiedztwa. To nie były takie amatorskie spotkania. Przy każdym z nich leżała kupka monet i banknotów, z boku taca z ciągle uzupełnianymi odpowiednim „paliwem” kieliszkami. Dopingowałem ich jak tylko mogłem. Śmiechu było sporo. Do tych chwil może jeszcze wrócę, bo czasami, uzupełniałem braki „kadrowe”.

W 1968 roku pożegnali swojego brata Antka na Cmentarzu Bonifratrów w Katowicach. Stryj był urodzony w Manieczkach, niedaleko Śremu. Coś go ciągnęło na stare lata w rodzinne strony. W końcu pojechał tam na stałe, dosłownie. Zawiózł go oczywiście tata. W mieście tym mieszkały ich dwie siostry. Zakwaterował się u Katarzyny. Podobno kupił ziemię w pobliżu Śremu. A że miał też odłożone pieniądze, lubił sobie i dobrze zjeść, i dobrze wypić. Jako że wlewał w siebie zbyt dużo alkoholu musiało się to skończyć źle. W niedługim czasie usłyszałem od rodziców o jego zgonie w 1971 roku. Szczegółów nie pamiętam. Został pochowany na cmentarzu parafialnym. Pozostały po nim fotografie zamieszczone na mojej stronie internetowej w „Archiwum fotograficznym”.

Pod koniec listopada w wyszukiwarce Google pojawiła się z prawej strony ikona „Tryb AI”. Musiałem sprawdzić. Kliknąłem okienko i ukazał się napis: „Zadawaj szczegółowe pytania, aby uzyskać lepsze odpowiedzi”. A poniżej: Zapytaj, o co chcesz”. No to zapytałem: „Co to znaczy «dupa błada»?”. Szukała chwilę i ku mojemu zdumieniu odpowiedziała, jak mi się wydawało, wyczerpująco. Nawet nie o wszystkich znaczeniach wiedziałem. Odesłała mnie do odpowiednich stron. Tam nie zaglądałem, bo to była tylko taka wstępna próbka sprawdzenia jakby prawdziwej inteligencji sztucznej inteligencji. Trzeba przecież rozróżnić: skoro jest sztuczna, to musi być prawdziwa, ale znalazłem też, że jest naturalna. Zapytałem tę sztuczną. Niestety nie odpowiedziała. I to mnie nie zdziwiło, bo po co o konkurencyjnej mówić. Może być. Tak czy inaczej, jak na początek zdała egzamin, choć nie wiem, czy pytanie należało do trudnych, czy łatwych. Zobaczymy, jak będzie dalej. Te łatwiejsze pytania będą dla Google, a trudniejsze dla AI. Sama się chwali, że jest od lepszych odpowiedzi. Postaram się jeszcze przed Świętami tę, było nie było, zarozumiałość zweryfikować i oczywiście doniosę o rezultacie.

Również w listopadzie pojawiła się w sieci, podobno świetna wiadomość, że 19 tysięcy kroków dziennie nie jest już potrzebne, lecz wystarczy 3 tysiące kroków i możesz wywinąć się niemal od zejścia do wieczności, albo odciągnąć Alzheimera na dłużej. To oczywiście hardwardczycy. Ci to mają tupet. Na pewno w ogóle nie chodzili, tylko dumali, czym by tu jeszcze świat zauroczyć. Na wszelki wypadek zmniejszyli dawkę chodzenia – i to ponad trzykrotnie. Podparli się jakimś białkiem i myślą, że dokonali rewolucyjnego odkrycia. Napisali tyle bzdur, jak to naukowcy, że ich badania czyta się lekko jak kryminał. Stąd też do wielu głów wpadają na stałe, a do innych przelotowo. Ode mnie odbiły się jak piłka tenisowa od rakiety.

Znane jest powszechnie hasło „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się”. Wymyślono je już dawno, w połowie XIX wieku. Tym okrzykiem Karol Marks i Fryderyk Engels chcieli zachęcić do obalenia wszystkich ustrojów. Ja aż takich ambicji nie mam, ale wołam: „Twórcy

wszystkich stron internetowych, łączcie się. Niech będzie jedna, a dobra, a nie tysiące do niczego”. Liczyłem, że może sztuczna inteligencja to zrobi, ale się zawiodłem.

Moje wołanie dotyczy niemal wszystkiego, co się dzieje na świecie. Przecież lepsza jest jedna dobra prognoza pogody, a nie niekończąca się liczba różnych, nieudanych, nietrafionych. Ustalcie w końcu między sobą, czy kawa jest zdrowa czy nie, a nie podawajcie sprzecznych o nich informacji, wypełniając prawdą i fałszem tysiące witryn. Nie silcie się na indywidualne oceny, tak zróżnicowane i wzajemnie sobie przeczące, bo internautom powstaje w głowach galimatias. Ustalcie raz na zawsze, jakie objawy należy przypisać takim, a nie innym chorobom, i nie doprowadzajcie pacjentów do szału dokładaniem kolejnych.

W dziesięcioleciu 1955–1965 powstała najwspanialsza muzyka popularna, jaką do tej pory słyszałem. Melodie łatwo wpadały w ucho. Królował rock and roll. Elvis Presley na początku kariery był w znakomitej formie. Wiele nagrań innych artystów głównie amerykańskich docierało do Polski. Brenda Lee, Fats Domino, Connie Francis, Paul Anka, Buddy Holly and the Crickets, Little Richard, Jerry Lee Lewis. Musiałbym wymienić przynajmniej kilkudziesięciu, a nawet więcej. A z Wielkiej Brytanii Cliff Richard, The Shadows, Helen Shapiro i przede wszystkim Beatlesi z Rolling Stonesami. Innych „czwórek” też nie brakowało. Prezentowano nie tylko anglojęzyczne przeboje. Niezapomniany Lucjan Kydryński lansował piosenkarzy francuskich na czele z Édith Piaf, Charlesem Aznavourem, Gilbertem Bécaudem, Georgesem Brassensem, a także Johnnym Hallydayem, Sylvie Vartan, czy Dalidą. Bardzo melodyjne były piosenki Enrico Maciasa. Już w połowie lat sześćdziesiątych tak spodobał mi się (również Marysi, późniejszej żonie) Salvatore Adamo, że jego piosenkę *Tombe la neige* z 1963 roku uznaliśmy za naszą ulubioną.

Jak tu skrótowo pisać o czasach dosyć długich i znakomicie zapadłych w pamięci? Nie mogę też nie wspomnieć o włoskich wykonawcach: Rita Pavone, Adriano Celentano, Domenico Modugno, Fred Buscaglione i niezwykle popularny w Polsce Marino Marini. Miałem adapter Karolinka, ale płyt ze słynnymi wykonawcami nie można było kupić. Było jednak takie miejsce przy ulicy Wawelskiej w Katowicach, zaraz za narożnym budynkiem od ulicy Młyńskiej, w którym w głębi niewielkiego placu stał kiosk. Tam sprzedawano nagrania z ówczesnymi przebojami na pocztówkach. Były to radzieckie widokówki m.in. z Leningradu, Moskwy i Kijowa. Nie powiem, zwłaszcza z dzisiejszej perspektywy, że były dobre, raczej fatalnej jakości (dźwięk pozostawiał wiele do życzenia, wyraźne trzaski), ale coś tam słychać było. A my też głodni, jak to młodzi, słynnych światowych szlagierów. Magnetofonu nie miałem, więc z radia nagrać się nie dało. Wyciągnąłem je właśnie z koperty w szufladzie, a na nich, to jeszcze przed pojawieniem się liverpoolskiej czwórki, m.in. Neil Sedaka (*Oh! Carol*). To też czasy, w których wpadł mi w ucho już na zawsze jazz. Wtedy poza najbardziej znanymi, jak Charlie Parker (mój idol), Miles Davis, John Coltrane, Sonny Rollins (jeszcze żyje), Louis Armstrong i Ella Fitzgerald, Duke Ellington i Count Basie, usłyszałem na przykład pianistę Mose Allisona i organistkę Shirley Scott. Miałem też „słabość” do wielu innych, jak Stan Getz, Django Reinhardt, Oscar Peterson, Lester Young, Coleman Hawkins. Same tuzy, prawda? Właśnie ten okres, od lat pięćdziesiątych do mniej więcej drugiej połowy lat sześćdziesiątych, to chyba najlepszy czas dla jazzu. Mógłbym tak kontynuować długo, napisać obszerny artykuł, inni to już jednak znakomicie zrobili, więc kończę. Do różnych wspomnień z ulubioną muzyką będę oczywiście powracał.

Ryzyko pacjenta. Na ogół pisane jest o ryzyku jakie podejmuje lekarz, biorąc się za operację, która może się źle skończyć dla operowanego, a czasami i dla operującego. Udaje się im często uratować czyjeś życie. Podobno takiego ryzyka zdaniem lekarzy nie należy unikać. Zgoda. A jak nie uda się operacja, to przegrał lekarz, czy pacjent? Tak więc czyje ryzyko jest

większe: pacjenta zdecydowanego na operację, która nie wiadomo, jak się skończy i czy on przeżyje, czy lekarza, który prawie zawsze takie operacje przeżywa?’ Co najwyżej jest zestresowany tym, co zrobił. Czym innym jest ryzyko w stosunku do siebie, a czym innym w stosunku do innych. Nierobienie niczego w takich groźnych sytuacjach jest zdaniem niektórych lepsze niż operacja, mogąca skończyć się tragicznie. Kto ma o tym decydować? Znam przypadki, w których pacjent zrezygnował i przeżył. Znam też sytuacje, w których chory poszedł do szpitala i już nie wrócił, bo operacja się nie udała. Wyboru dokonują lekarze albo czynimy to my sami, a niekiedy rodzina. Takie ryzyka towarzyszą nam przez całe życie.

W życiu tak to już jest, że najczęściej są w nim przeplatające się przyjemności i nieprzyjemności, żeby nie powiedzieć nieszczęścia. Takich, których życie upływa tylko na tych pierwszych doznaniach, czyli wiodą oni od początku do końca szczęśliwe życie jest niewielu. Również tacy, którzy doświadczają samych nieszczęść są nieliczni. Widocznie mają pecha od urodzenia do śmierci (myślę tu o tych drugich). Trudno mi szacować według dosyć mglistych pojęć – mniej czy więcej. Z pewnością najwięcej jest tych jakby pospolitych średniaków, którzy żyją naprzemiennie, jak już wspomniałem na początku, tzn. raz ich coś trapi, ale szybko z tego wychodzą, raz czują się przez jakiś czas dobrze, potem znów wkrótce wpadają w tarapaty, raz im się przytrafi szczęście, a raz nieszczęście. Z tym się chyba każdy zgodzi. I nic się na to nie poradzi.

Dwa przykłady które akurat przyszły mi do głowy.

Dziecko roześmiane w wózeczku, macha rączkami, wydaje odgłosy zadowolenia, aż tu nagle zmienia ton i krzyczy wniebogłosy. Mama „tiu, tiu, tiu” i po minucie zmiana nastroju, na twarzy pełnia szczęścia.

Drugi przykład – z kociego podwórka. Siedzą na parapecie i liżą sobie wzajemnie główki. Nagle pac, pac, pac, pyszczek rozciąga się w złości, uszy kładą się do tyłu, a łapy intensywnie pracują na głowie przeciwnej, dopiero co lizanej.

To tak skrótowo, bo i szybko się działo, ale można te okresy naprzemiennie wydłużyć, bo np. mówi się, że po siedmiu dniach dobrych następowało siedem dni złych. A jeszcze bardziej przeciągnąć na znaną przypowieść biblijną: po siedmiu latach tłustych, następowało siedem lat chudych. No i tak leci to nasze życie. Czyli, mówiąc najkrócej: raz tłusto, a raz chudo.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych w Baltonie zafundowałem sobie przenośne radio z odtwarzaczem kasetowym. Mogłem wreszcie nagrywać muzykę i ją odtwarzać. Kasety na ogół nagrywałem, a nie kupowałem ich. Uzbierało się ich sporo. Naliczyłem nieco ponad 500. Na nich muzyka popularna, jazzowa, taneczna, klasyczna. W tym czasie miałem już ponad setkę taśm szpulowych i około 250 płyt winylowych. Gdy ktoś już raz wejdzie w zbieractwo, to się mu trudno wycofać. Podobnie jest z kolekcjonerami tworzącymi bardziej ekskluzywny klub zbieraczy. Niekiedy przeradza się to w chorobę. Kupiony na początku ostatniej dekady XX wieku zestaw składający się z Technicsa (tuner) oraz Pioneera (wzmacniacz) mobilizował mnie do zakupu płyt kompaktowych. Jednak te nie były tanie, więc więcej nagrywałem na kasety. Tak minęły lata dziewięćdziesiąte. Na przełomie wieków rynek muzyczny „zalały” płyty kompaktowe. Zaopatrywałem się we wszystkie ulubione rodzaje muzyki. Sporo kompaktów przywoziłem z Krakowa.

W 1996 roku pojawił się u mnie pierwszy komputer. Po kilku latach już z niego słuchałem najczęściej muzyki z CD. Tyle tych możliwości było, że niewiadomo skąd słuchać. Więc na zmianę. Raz ze szpul (Grundig i Aria), raz z płyt analogowych (Fonomaster), raz CD (Technics i Pioneer), raz z kaset (Sony). Dokupiłem do słuchania podczas zajęć w kuchni małe radio, a do słuchania w sypialni radio z odtwarzaczem płyt CD i kaset, przy których często zasypiałem. Pod koniec pierwszej dekady tego wieku jeszcze znalazło się miejsce na zestaw Yamahy

(MCR-840) z dwoma kolumnami głośnikowymi – i na niej skończyłem. Wydawało mi się, że pod tym względem mam już wszystko, co trzeba. Ale gdzie tam. Znowu coś nowego. To możliwość odtwarzania muzyki w formacie MP3. O muzyce, która „łała się” i nadal „leje się” do moich uszu z komputera w następnym odcinku.

Producenci suplementów żywności chwalać się w swoich ulotkach, że specjalizują się w wytwarzaniu produktów wysokiej jakości. Pytam więc, po co takie zapewnienia, skoro nie można znaleźć firm specjalizujących się w produkcji niskiej jakości? O tych ostatnich można przeczytać niekiedy w rekomendacjach tych pierwszych. To powszechna w tej i wielu innych branżach oczywista oczywistość.

Ach, ci naukowcy. Badają cały czas, szukają dowodów na to skąd się wzięliśmy. Wskazują po latach na Afrykę. Czy aż tak długo trzeba zbierać na to dowody? Tam jest najgoręcej i chyba zawsze tak było. Nie musieli się ubierać. Przejrzałem ich przedstawienia i nie mogę wyjaśnić sobie jednej rzeczy. Niby cali goli, a jednak nie cali. Coś tam mają przysłonięte listkiem albo zakryte dłońmi. Czyżby to coś tak ich paliło, że chcieli osłonić się przed żarem? Ale dlaczego akurat w tym miejscu?

Coś tam już pisałem o mleku. Trafiłem na stronę internetową z informacją, że mleko było pasteryzowane od XIX wieku. Cofnę się zaledwie o siedemdziesiąt parę lat i absolutnie wykluczę picie mleka pasteryzowanego na wsi. W Manieczkach, gdzie bywałem od czasu do czasu, mleko prosto z dojenia wlewane było do większych, drewnianych pojemników i stamtąd albo przerabiane na masło, co sam robiłem, albo odstawiane do innych; i tam się zsiadało. Brałem je chochlą. Było bardzo gęste, ale smakowało mi. Nie wiem niestety czy mleko, które przynosiłem w kance do domu ze sklepu w Krotoszynie w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, było pasteryzowane. Wówczas nie zastanawiałem się nad tym.

Na przestrzeni dwóch, trzech lat widziałem na niektórych stronach internetowych błędy literowe zwane też „literówkami”. Wynikają one z pośpiechu, niezauważenia ich przez autorów bądź redaktorów. Zdarzają się i mnie od czasu do czasu. Przytaczam poniżej ich krótki wybór – nie po to, by wytykać błędy autorom, ale dla zabawy, bo niekiedy bywają rzeczywiście śmieszne. Oto one:

- „Dramatyczne sceny w Gdańsku. Zwierzę utknęło w metalowej siarce otaczającej posesję”.
- „Wołodimir Androszczuk nie żyje. Zginął na wojnie w Ukiranie”.
- „Ksiądz za pomoc ukrytej kamery nagrywał przebijającą się dziewczynę”.
- „Wiele leków jest darmowych, są jednak także legi, które są dostępne z pewną ulgą”.
- „Kto by się spodziewał, że mecz Polska–Alabania dostarczy fanom piłki nożnej tylu emocji”.
- „Dożyła 91 lat i zmarł we śnie”.
- „Niemcy chcą zablokować budowę elektrowni jądrowej w Polsce? Moskwa: Po świętach siadamy do rozmów”.
- „Mikrofon był nadal wtaczony. Ludzie byli zaskoczeni, styszac to oświadczenie”.
- „Świątek obecnie leczy kontuzję. Okazji do zmniejszenia starty do niej nie wykorzystwała Sabalenka”.
- „Chciała kupić ulubione bułki z Biedronki. Nagle to zobaczyła i zmarła, od razu wszystko nagrała”.
- „Hubert Hurkacz po meczu z Chinskim: «Łatwo nie było»”.
- „Nasze plany o letnim latynoskim festiwalu nad polskim morzem ze wpiętymi artystami przerosły nasze możliwości”.

„Czesi na Wołyniu w czasie II wojny światowej byli świadkami ludobójstwa na Polakach”.

„Burze przetaczają się przez region. Ostrzegamy, te memy porawiają wam humor!”

„...a Portugalczyk wypatrzył niepiłowanego Lewandowskiego”.

„Za sprawą rozłamowej i awanturniczej polityki niektórych państw Europy Wschodniej, rozpada się kolacja wsparcia dla Ukrainy”.

„...był nie tylko dobrym i oddanym lekarzem, ale także znakomitym sportowcem i wpiątym człowiekiem”.

„W procesie istnieje ryzyko utraty wartości odżywczych, a także skażenia bakteriowego”.

„Strzelanina i obawa we Wrocławiu. Nie żyje policjant, drugi w stanie krytycznym”.

„Senator Krzysztofa Kwiatkowski uważa, że Jarosław Kaczyński powinien stanąć przed komisją śledczą ...”.

„Latem można tam opalać się na prywatnym brzegu zalewu, zbierać w lesie grzywy”.

„Komendanta Jarosław Skrzypczyk żegna się z Policją. Pożegnanie we wtorek”.

„Szymon Hołownia, marszałek Sejmu, jest pewien, że Maciej Wąsik i Mariusz „Kamiński utracili mandaty poselskie. Mimo to Wąski zapowiada udział w posiedzeniu Sejmu”.

„Pierwszy komentarz MSZ Polski. Sikorki krótko o Putinie”.

„Zaczyna brakować między innymi worków z pisakiem, których dotychczas urząd wydał już 500 tys.”.

„Niedawno podpadł wielu osobom, stwierdzając, że piec «nie umiera, ale zdycha»”.

„Portugalczycy awansują w ten sposób na pierwsze miejsce w grupie, a zajmująca drugie miejsce Szkocja została ośmieszona przez Szkocję – pisze „La Gazzetta dello Sport”.

„Kiedy Iga Świątek wróci do gry? Wyjaśniamy, co z jaj zawieszeniem”.

„Radca prany zabiera głos. Mówi o «premedytacji» ZUS”.

„Magda Umer miała syna Mateusza (ur. 22 grudnia 1977) z nieformalnego związku oraz dyna Franciszka (ur. 1985)”.

„60 obiektów wleciało w nocy nad Polskę znad Białorusi. Służby odnalazły tylko 4 dni” – podaje TV Republika”.

Szanowni Rodacy! Jesteście i tacy, i tacy. Niektórym dogodzę, innych zdenerwuję. Cechy waszego charakteru wymieniam nie według procentowego udziału w jakiejś klasyfikacji, a według alfabetu. Tak będzie dla mnie bezpieczniej. A więc jesteście: agresywni, ambitni, aroganccy, bałamutni, bezczelni, bezinteresowni, bezmyślni, bezwzględni, bitni, buńczuczni, butni, chamscy, charyzmatyczni, chciwi, chełpliwi, chętni, chimeryczni, chojraccy, chwiejni, chytry, cierpliwi, czepliwi, czupurni, denerwujący, despotyczni, dobroduszn, dobrzy, dokładni, dokuczliwi, drapieżni, dumni, dyskretni, dzielni, egocentryczni, elastyczni, empatyczni, energiczni, fałszywi, fanatyczni, gburowaci, gderliwi, głupi, gnuśni, gospodarni, gościnni, grubiańscy, gruboskórni, grymaśni, grzeczni, grzeszni, hardzi, humorzaści, impertynency, impulsywni, inteligentni, irytujący, jędzowaci, kapryśni, kłótlivi, komunikatywni, konfliktowi, konsekwentni, kreatywni, krewcy, krnąbrni, krytyczni, kwękający, lekkomyślni, leniwi, lojalni, łakomi, łatwowierni, małostkowi, marudni, mądrzy, meczący, mili, moralni, mściwi, omylni, nadęci, naiwni, namolni, napastliwi, naprzykrzający się, narwani, narowiści, narzekający, narzucający się, natarczywi, natrętni, nerwowi, niemrawi, niesforni, nonszalancy, normalni, nudni, obłudni, obowiązkowi, obrzydli, odpowiedzialni, odpychający, odważni, okrutni, oporni, opryskliwi, ordynarni, pamiętliwi, patriotyczni, pospolici, pewni siebie, pobudliwi, podejrzliwi, pogardliwi, pomysłowi, popsuci, posłuszni, porywczy, pracowici, prostaccy, przekorni, przewidywalni, próżni, prymitywni, przeciętni, przekorni, przemądrzali, punktualni, pyszałkowaci, religijni, rodzinni, rogaci, roszczeniowi, rozbewstieni, rozkapryszeni, rozleniwieni, rozpaskudzeni, rozpieszczeni, rozpuszczeni, roztropni, rozrzutni, rozważni, rozwydrzeni, różni, ruchliwi, rzetelni, samodzielni, samolubni, serdeczni, sfrustrowani, skąpi, skromni, solidarni, solidni, spokojni,

subordynowani, sumienni, swarliwi, sympatyczni, szczerzy, szorstcy, śmiali, śmieszni, tchórzliwi, tolerancyjni, towarzyscy, troskliwi, trudni, uciążliwi, uczciwi, ufni, ugodowi, ulegli, uparci, upierdliwi, uprzejmi, uprzykrzający się, ustępliwi, utyskujący, waleczni, wścibscy, wiarygodni, wiedźmowaci, wielkoduszni, wielkopańscy, wierni, wojowniczy, wstrętnei, wulgarni, wybredni, wybrzydający, wydelikaceni, wygodniccy, wyniośli, wyrachowani, wyrozumiali, wytrwali, zaangażowani, zaborczy, zachłanni, zaczepni, zadowoleni, zadufani w sobie, zadziorni, zakłamani, zależni, zapalczywi, zapatrzeni w siebie, zaradni, zarozumiali, zawistni, zawzięci, zazdrośni, zdemoralizowani, zdyscyplinowani, zgorzkniali, zgnuśniali, zgryźliwi, złośliwi, zmotywowani, zrównoważeni, zrędlwi, zuchwali, źli, życzliwi, żywiołowi.

Poświęciłem się. Nie dałbym rady wymienić nawet części tych cech bez wspomagania się słownikami języka polskiego. A i tak to nie wszystko. Słów bardziej dosadnych na przykład nie podałem. Mam nadzieję, że nikogo nie skrzywdziłem. Każdy może się do cechy wymienionej w tej liście zaklasyfikować, albo kogoś do niej „podpiąć”.

Na tym nie koniec. W 37 milionach Polaków mieści się przecież wiele pozytywnych i negatywnych cech charakteru i osobowości. Dokładka.

Cechują nas: prostactwo, gruboskórność, nieuprzejmość, brak szacunku, malkontenctwo, ksenofobia, cwaniactwo, kombinatorstwo, egoizm, brak kultury, kołtuneria, ciemniactwo, pycha, zacofanie, nieliczenie się z nikim, ciasnota, ignorancja, koleżeńskość, zrozumienie, altruizm, współczucie, gotowość do poświęceń, gołębie serce, życzliwość i wiele innych dobrych i złych wyróżników. A więc jesteśmy tacy, i tacy, jak widać nie zawsze cacy. Które skłonności, dobre czy złe przeważają? Nie mnie osądzać. Prawdą jest, że wymienione cechy charakteryzują nie tylko nas. Równie dobrze mogą odnosić się do innych nacji. Różnice chyba są niewielkie. Poza tym to uogólnienia pełne subiektywizmu i podchodzę do nich z dużym dystansem. Taka sobie zabawa. Można być równocześnie kłótlwym i dobrym, mądrym, ale zazdrosnym itd.

Po ostatnich rozmowach różnych specjalistów od diet wszelakich uznałem, że one niewiele się od siebie różnią (rozmowy tak, nawet bardzo, ale diety nie). Wszystkie mają jeden mianownik i można podporządkować je diecie nazwanej tu przeze mnie roboczno „Kato”. Nie mylić z keto ani ze skrótem miasta, w którym mieszkam. Nazwę nadałem jej po licznych analizach wszystkich dotychczasowych diet, jakie tylko mogłem poznać. „Kato” to skrót od „katowania się”. Słowo to według *Słownika języka polskiego PWN* znaczy tyle co „wywoływanie u siebie stanu wyczerpania psychicznego lub fizycznego”. I niech mi nikt nie wmawia, że tak nie jest, co zaraz udowodnię. I jeden, i drugi stan może być lekki, ale może też być ciężki. Wyczerpanie psychiczne pojawia się np. przy „wejściu”, podczas stosowania jednej z popularniejszych, ostatnio propagowanych na YouTube, diet, np. Braci Rodzeń, w stan ketozy i w tym samym czasie patrzeniu na koleżanki i kolegów, którzy jeszcze w ten stan nie weszli i zamiast tego pałaszują na oczach „igrającego z ketozą” ciacha i inne smakołyki, popijane mocno posłodzonym sokiem owocowym bądź jakimkolwiek energetykiem. Taki osobnik w ketozie jest tak wycieńczony psychicznie z żalu, że on nie może, a inni mogą, że nie tylko odwraca głowę i zalewa się łzami, lecz niekiedy aż krew go zalewa (to właśnie objaw skrajnego zmęczenia, o którym wcześniej wspominałem). Po iluś tam towarzyskich spotkaniach w restauracjach, pubach czy gdziekolwiek indziej takie wypalenie psychiczne może przerodzić się w stan przewlekły, z którym żadni lekarze nie dadzą sobie rady. Są to typowe skutki uboczne wprowadzania się w stan ketozy, o których się oficjalnie nie wspomina. Ja przynajmniej o takich reakcjach nie słyszałem ani nie czytałem. Nie boję się jednak o nich tutaj pisać.

Dawniej żadnych tym podobnych diet nie stosowano, a ludzie żyli długo i szczęśliwie czerpiąc przyjemność z odżywiania się bez ograniczeń. Tego właśnie dzisiaj wszystkim życzę.

Smishing, phishing, vishing i mnóstwo innych wyrazów z końcówką *-shing* zalało sieć internetową. Kto tak „polał”, z grubsza wiadomo. Niejedna głowa nie wytrzyma ich naporu i nie każda głowa wie, co znaczą. Są jednak tacy, co wiedzą. Skoro tacy mądrzy, to podsunę im kolejne, z polska brzmiące: *trashing, washing, mushing, pashing, kishing, krushing, śmishing, mnishing, bishing, klashing, ceshing, dushing, goshing, jeshing, lishing, sushing, zloshing*. Wystarczy. Podpowiem tylko, że to ostanie słowo oznacza złośczenie się. Zobaczymy, jak sobie specjaliści od języka z nimi poradzą. Małpują wszystko, to może tych kilkanaście też wchłoną.

Handelek to taka drobna sprzedaż i kupno towarów, albo ich wymiana, również usług między nazwijmy je, „stronami”. Ten duży nazywa się mniej piśmiennie handlem. Zwał jak zwał, różnica jedynie w kasie. A jak nazwać ten największy handel? Chyba nie ma jednowyrazowego odpowiednika. Szkoda. Można mu tylko dołożyć słowo „globalny” czyli międzynarodowy. I jednemu, i drugiemu w obiegowej opinii wiedzie się dobrze. Ukuto nawet przysłowie: lepsze deko handlu niż kilo roboty. Mały zdaje się częściej kontrolowany, a duży mniej. To naturalne, ponieważ małego można w mig rozpracować, a dużego nie tak łatwo, oj, nie. Ten duży prześwietlają długo, rozważnie, paragraf po paragrafie, a im głębiej, dobitniej, tym dla rozpracowujących sytuacja staje się, o dziwo, coraz trudniejsza, czasami nie do przeniknięcia, czy zgłębienia, wręcz z wielu powodów niebezpieczna. Wydawać by się mogło, że przecież nic złego nie robią, chcą tylko sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Dochodzenie do prawdy to bardzo długi proces, czasami nieskończony. Można przyjąć dwa rozwiązania. Pozytywne, tzn. jakoś udało im się wywinąć, a dla tych drugich to wyjątkowy pech. Wpadli na tym handelku jak śliwka w kompot albo znacznie gorzej. Od nieprzebranych przykładów aż głowa pęka. Zatrzymam się na dwóch, oczywiście globalnych, bo takimi są.

To handel narkotykami i bronią. Czasem coś mi tam mignie w sieci, jakieś statystyki, wykresy, liczby. Nie szukam bardziej szczegółowych doniesień. To nie jest takie ważne, bowiem to, co mogłoby być ważne – i tak pozostaje ukryte. A dlaczego ukryte? No bo ważne, nawet za bardzo, czasami tak bardzo, że nic się nie dojrzy. Oj, mógłbym tak wiercić dziurę w brzuchu nieskończenie, jak zresztą wszyscy wokół to czynią od dawna i też nie mogą jej wywiercić. A wydaje się, że w dzisiejszym świecie, stechnicyzowanym, przecież prawie wszystko można dojrzeć. Ano właśnie, nie wszystko. Ważne jest to „prawie”, które jakby wyłącza niektóre sprawy z tych ogólnie dostępnych. Można je zaliczyć do tajemniczych, a może nawet lepiej do zabronionych. Teraz jak najkrócej. Ci, których można by nazwać narkotyzującymi innymi, kasę mają „ciężką”. Trudno ją utrzymać. A ci drudzy, dostarczający innym narzędzi do zabiwania się wzajemnie, którym wydaje się, że są lepsi, też uginają się na nogach pod ciężarem pochodzącej z handlu mamony. Pod tym względem obu stronom jest „ciężko”. Prezydent jednego z największych państw nie może już wytrzymać i szykuje się do ostatecznej rozprawy z ich niewielką częścią.

Ostatnio media od czasu do czasu coś tam podadzą dla niewtajemniczonych, że jest np. embargo, wiemy na co bądź na kogo, ale przecieki są olbrzymie. Hydraulicy w domowych sprawach nie dają sobie rady z przeciekami, ale politycy to nie hydraulicy. Potrafią zatkać wszystkie dziury, z których coś wycieka, i uważają, że jest OK. Ta ogólnościowa hipokryzja ma się dobrze. I jedni, i drudzy mają za dużo do zyskania, ale też zbyt dużo do stracenia mimo różnych ciężarów, nie tylko tych już wymienionych, ale także tych moralnych.

Według mnie istnieją dwa światy. Mały i duży. I niech mi naukowcy nie brzdącają twierdząc, że jest ich więcej. Oni ciągle dzielą włos na czworo, gmatwają, lawirują, kręcą i wymyślają coraz to większe głupoty. Nigdy nie dojdą do żadnego uzgodnienia. Tak ten świat poszatkowali, że objąć światów przez nich wymyślonych już się nie da. Nawet jakiś wszechświat wypichcili. Teraz się od nich odczepiam. Mały świat to ten mój świat, w którym tylko ja się obracam.

A duży to ten bezkresny, otaczający mnie ze wszystkich stron. Niebezpieczny, tajemniczy, po części też i wrogi. Mały zdaje się mi być bardziej przyjazny, przytulny. W małym jestem sobą, coś dla siebie znaczę, jestem kimś, a w dużym nic nie znaczę, nie jestem nikomu potrzebny, nie mam nic do gadania. W małym świecie wcale nie jestem samotny. Oferuje mi on duże bogactwo, tylko muszę sobie ten świat stworzyć i odpowiednio go ułożyć. Duży natomiast, poddawany presji tzw. mocy nieczystych, cokolwiek by one znaczyły, a może już całkiem nimi zawładnięty, rodzi frustrację i zniechęca do wszystkiego. Mały świat jest obdarzony mocą mojej wyobraźni, a ten duży tkwi w zagubieniu i do mnie nie przystaje.

Kiedys w tych bardzo niechcianych czasach PRL-u wszyscy patrzyli na Zachód, żeby nie powiedzieć – tęsknili za nim. Niektórzy natomiast mówili o zgniłym Zachodzie. Przyszły oba. Rozwinęły się u nas w pełni. Walczyliście z tzw. komuną, żeby mieć lepiej, no to macie Zachód już nie w pigułce, a w całej okazałości. Systemy gospodarczo-polityczne niezależnie od tego, czy z lewa, czy z prawa, skrajne czy nieskrajne, są pod wieloma względami podobne. Widziano Zachód przez różowe okulary. Na zewnątrz blichtr, a pod spodem upadek moralny – przykrywany, lukrowany, przez większość jednak cicho akceptowany. Życie jednych zawsze toczyło się kosztem drugich. Bogatych kosztem biednych, no bo chyba nie odwrotnie.

Do października 2025 roku miałem w domu dwa koty, a teraz doszła myszka. To znaczy sama nie doszła, tylko przytargała ją z dworu Iga. To uznana specjalistka od myszek. Być może numer jeden na świecie. Jest bardziej skoczna od znanej prawie wszystkim imienniczki, tenisistki. Potrafi z lekkością zeskoczyć z parapetu okiennego na wysokości około 2,5 metra nad ziemią. Nie sądzę, aby ta druga zdecydowała się na taki skok. Ta bardziej skoczna przynosi myszki od początku zadomowienia się u mnie, dokładając też niekiedy ptaszki. No i właśnie przyniosła. Nie wiedziałem o tym, bo mi nie dała żadnego znaku. Wypuściła myszkę z pyszczką i zostawiła. Zobaczyłem ją (myszkę) przebiegającą w kuchni pod kaloryferem z jednej strony na drugą. Coś trzeba było zrobić. Wziąłem podstawki i ustawiłem z obu stron za szafkami. Dałem łuskane pestki dyni i ziarna słonecznika. Z dynią to był dobry pomysł, bo okazała się przysmakiem. Idzie jak woda. Słoik już prawie pusty. Może dlatego, że jest „eco”. Iga straciła zainteresowanie nią, moje zainteresowanie natomiast wzrosło. Dogadzam myszce, jak mogę. Nie wiem, czy to ona, czy on, więc na razie jest bezimienna. Nazwałem ją Mysza. Jest już prawie miesiąc. Podjąłem niedawno próbę złapania jej do specjalnego urządzenia, które nie robi jej krzywdy. Na razie bez rezultatu. Ja na jej miejscu też bym się do łapki nie pchał. Ma tu dużo miejsca, żarło przednie. Życ nie umierać.

Wspomaganie się sztuczną inteligencją w przewidywaniu przyszłości mnie śmieszy. Przyszłości nie da się przewidzieć. Choćby nie wiem co wymyślali, to i tak będzie niemądre. Przyszłość zawsze była, jest i będzie dla ludzi wielką niewiadomą. O tym świadczą wszystkie dotychczasowe źródła. Co o niej wypisywali różni prorocy, jasnowidze światowej sławy, to do dzisiaj lektura pobudzająca tych mniej rozumnych do dokładania swoich kolejnych bzdur.

Króciuteńko (to bardziej niż króciutko i na dodatek pieszczotliwie) o władzy. Co można pomieścić w dziesięciu wierszach? W czasach PRL-u teksty w gazetach i wiadomości w telewizji rozpoczynały się od słów: „Pierwszy sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej towarzyszu...”. Dzisiaj media na czołówki wypychają premiera i prezydenta. Raz najpierw prezydent, raz premier. Czy ktoś policzył, który z nich częściej gościł na pierwszej linii frontu? Wyścig o palmę pierwszeństwa w tym względzie toczy się od początku ich „współpracy”. Jeśli chodzi o wzajemne relacje, to na zmianę prezydent uderza w premiera, a zaraz premier mu odpowiada pięknym za nadobne. Tu jest równo. Jak prezydent „dopada”

premiera, to premier „odwija” mu się z nawiązką – albo odwrotnie. Jak długo ten kontredans między czołowymi politykami naszego kraju będzie trwać?

Na końcu ustosunkuję się krótko do wypowiedzi prezydenta Karola Nawrockiego podczas wystąpienia 14 grudnia 2025 roku w Warszawie w związku z obchodami 44 rocznicy wprowadzenia stanu wojennego. Powiedział m.in. „Po tym 13 grudnia funkcjonariuszom służby bezpieczeństwa i tym, którzy gasili to światło wolności, przywraca się przywileje emerytalne, a bohaterowie naszej wolności często żyją gorzej niż ci, którzy chcieli nas zniewolić”. Nie powiedział dlaczego tak się stało. No to ja dopowiadam. Dlatego, że ci silniejsi, którzy na „grzbietach” swoich słabszych, bardziej uczciwych kolegów dopadli władzy, zostawili ich na lodzie. Zdobyli, co chcieli, więc towarzysze wspólnej walki byli im już do niczego niepotrzebni. Taka jest prawda, która do dzisiaj nie może sobie utorować drogi do powszechnej świadomości. To kolejna odsłona zakłamania. Samo życie.

Napisał latem i jesienią 2025 roku Eugeniusz Tomczak

© Copyright 2025 by Eugeniusz Tomczak